

Christine Morton-Shaw

Zagadki Epsilonu

(The Riddles of Epsilon)

Tłumaczenie: Mateusz Ł. [Tactaro]

Zagadki Epsilonu

Christine Morton-Shaw

Ilustracje: Neal Packer

Dla Y

Mój Pamiętnik

W dół. Tam to się stało. W dół. W dół przez zrujnowaną wioskę. Właśnie tam wszystko się zaczęło. To, czego wcale się nie spodziewałam. Nawet do głowy by mi nie przyszło, że takie coś, może przytrafić się właśnie mnie.

To znaczy. Jestem tylko zwykłą, przeciętną osobą. Jessica White. Czternaście lat. Żadnych szczególnych umiejętności. Więc, dlaczego właśnie ja? Ale, tak wiele się zdarzyło, zanim to wszystko się zaczęło. Tak wiele. Zdecydowałam, że będę to wszystko zapisywać. Znalazłam ten wielki, pusty segregator w małej bibliotece. Będę zapisywać wszystko – symbole, rzeźbienia; nawet wydrukowałam rozmowy na czacie! Muszę to wszystko śledzić. No i, chyba zwariuję jak przestanę. A może już zwariowałam? Mimo wszystko, to chyba rodzinne – szaleństwo.

Szaleństwo jest więc niewątpliwie możliwe.

Rozdział Pierwszy

CZAT. Dwóch użytkowników w pokoju:	Jess Avril

AVRIL: Więc. Wrogowie już się uspokoili?

JESS: Mama i tata? Żartujesz? Pomyślałabyś, że za tyle płakania i błagania miałabym zrobiony tatuaż, a to tylko mały kolczyk w nosie. I to było tydzień temu, zanim się jeszcze tu przeprowadziliśmy.

AVRIL: Mama Hayley uziemiła ją na cały tydzień!

JESS: Biedna Hayley.

AVRIL: Jej szlaban skończył się wczoraj. Zaraz ma do mnie przyjść. Idziemy na dyskotekę.

JESS: Fajnie macie. Pozdrów ją ode mnie. Powiedz im wszystkim, że za

nimi tęsknię.

AVRIL: A kazali ci już wyciągnąć kolczyk?

JESS: Tak. Ale nie ma mowy, żebym go zdejmowała! No i właśnie dlatego tata się do mnie nie odzywa przez cały dzień.

AVRIL: Więc, jak wygląda ten twój nowy dom?

JESS: Jest obrzydliwy. Stary. Rozpadający się. Pełny kiepskich, starych sprzętów. Mój pokój jest OK – całe poddasze! Ogromne. Połowa w dywanach, połowa gołe deski. Tata położył deski i zawiesił lustra.

AVRIL: Super! Twoje prywatne studio tańca.

JESS: Cóż, nie ma w tym bezludnym wysypisku chyba nic więcej do roboty. To będą moje najgorsze wakacje. Piekło! Nie ma tu nikogo w moim wieku. Same maluchy. Gdybym nie miała Domina, chyba umarłabym z nudów.

AVRIL: Tak mi brakuje spacerów z nim. A mama nadal nie chce się zgodzić na psa. Jak on zniósł przeprowadzkę?

JESS: Och, uwielbia to miejsce. Mnóstwo królików i mew do przeganiania. Tylko to się dla niego liczy.

AVRIL: Swoją drogą, zostawiłaś w moim pokoju swój fioletowy kostium. I płytę – Swat.

PRZYCHODZI – V

JESS: Wszędzie szukałam tej płyty! Wyślesz mi ją?

AVIL: Oj, dzwonek do drzwi. Hayley już przyszła. Muszę iść. Porozmawiamy jutro? XXX

ODCHODZI – AVRIL

V: Pozdrowienia.

JESS: Hej! Nie wiesz, że nie można tak po prostu sobie wchodzić do prywatnych pokoi?

V: Więc uważasz, że Lume jest bezludnym miejscem, co?

JESS: Co?

V: Wyspa. Może jest nieco odległa, ale jesteś w błędzie. Bardzo dużo się tutaj dzieje.

JESS: Nigdy nie mówiłam, że byłam na Lume. Kim ty jesteś?

V: V.

JESS: V? Co to V znaczy?

V: V.

ODCHODZI – V

Rozdział Drugi

Mój Pamiętnik

Cały dzień było okropnie gorąco. Jestem wściekła. Wściekła przez upał, przez rodziców. Chora i zmęczona tym wszystkim. Nowym domem i tą całą wyspą, z tymi wszystkimi głupimi „cudownymi elementami rodem z antyku”.

Nic mnie nie obchodzą te głupie rzeczy. Ja po prostu tęsknię za Avril. Nie mówiąc już o basenie. Ale takim prawdziwym. To znaczy czystym miejscu do pływania, bez żadnych wodorostów, które oplatałyby mi się wokół nóg jak jakieś zielone węże morskie. Ohyda.

Dzisiejszy dzień poświęciłam na szukanie sposobu, jak uciec od wykonania ostatniego polecenia mamy – wyszorowania listew przy podłogach. W całym domu! Nie wytrzymałabym ani jednej minuty, robiąc tą durną, restauracyjną robotę. Duży Dom, a ja na klęczkach ze szczoteczką w dłoni. Duży Dom. Dom? Raczej Duży Stos Śmieci. Mama go odziedziczyła, ale nigdy nie chciała tu mieszkać. Aż do teraz. Cóż, mam nadzieję, że nadal nie chce – przecież ten dom to nic tylko relikw. Wszystkie jego części się rozpadają. Tacie też się nie podoba. Mama chce żeby naprawił drzwi do kuchni – praktycznie zawiasy trzymają się ostatkiem siły – ale on ciągle mówi, że to nie jest aż takie ważne, i chce to naprawić, na końcu, jako jego ostatni projekt.

„No dalej Jess – kurczaki przyjeżdżają już jutro. Musimy skończyć ten wybieg. Leć po łopatę. Tnij, tnij!”

Tak tato. Nie tato. Trzy pełne torby, tato.

I uciekłam. Pobiegłam, nawet nie zabierając psa. Po prostu wyszłam.

Dzisiaj znalazłam miejsce, które jako jedyne na tej wyspie mi się podoba. Jest jakieś ćwierć mili od Dużego Domu, zaraz niedaleko klifów. W połowie drogi, jest kamień, na którym bardzo wygodnie można się rozsiąść, odpocząć i jeśli na przykład chciałabym już wrócić do domu, to jest tylko połowa drogi.

A najlepsze jest to, że rodzice o nim nic nie wiedzą. Jest bardzo, bardzo dobrze ukryte wśród zarośli. Trzeba naprawdę się napocić, żeby przedostać się przez ten gąszcz. No i są tu pokrzywy. Jak okiem sięgnął – same pokrzywy. Przez nie muszę zakładać dzinsy, pełne buty i długi rękaw pomimo upału.

Chciałam ukraść łopatę z szopy po to tylko żeby zdenerwować tatę. A,

trzeba było go widzieć! Jednak bardzo mi się przydała. Posłużyła mi za maczetę, którą wycięłam sobie ładną ścieżynkę przez te krzaki. Tak. Tnij, tnij, tato.

I nagle, krzaki się skończyły. Tak właśnie, nie muszę się już przedzierać przez te chaszczce.

Jest tam bardzo cicho. Mała polanka, okrążona przez drzewa (i pokrzywy). Drzewa są jak wysoki, zielony mur dookoła. Nie można dostrzec przez nie morza, ale można je usłyszeć. I poza tym nie ma tam żadnych dźwięków. Tylko cisza. Zupełnie jak w pustym kościele albo łazience, gdzie nie ma zupełnie nic.

Tak, coś tam jest.

To znaczy, taka atmosfera.

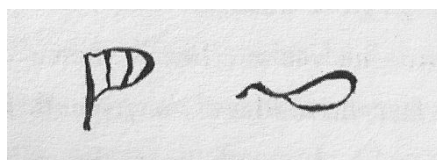
Chałupa. A raczej to co z niej zostało. Trochę kamieni i spróchniałego drewna. Zawalony dach, gdzieś w jednym rogu, cały jest owinięty bluszczem. Powybijane okna, podobne do oczu, wywołują u mnie gęsią skórkę, dreszcze i lekkie zawroty głowy. Nie czuję się tu dobrze. Nie czuję się tu jak w jakimkolwiek normalnym miejscu! Jednak dzisiejszego popołudnia, nie przejmowałam się drgawkami.

Zawalona czy nie, jest *fantastyczną* kryjówką. Dobrą norą, gdzie Oni, na pewno mnie nie znajdą. Nigdy.

Czas na zbadanie mojej nowej kryjówki.

Drzwi były całe sztywne. A wisały tylko na jednym zawiasie. Schody z czarnego kamienia, błyszcząły się jak szkło. Spod warstwy mokrych, zgnitych liści coś jakby świeciło. Jakieś słowa. Wyryte słowa na stopniu! Skopiowałam je szybko. Trochę angielskich słów. Czary. Zawinięte i proste symbole, nawet ładne.

Tylko dwa, które sobie przypominam wyglądały tak:



Kiedy odstoniłam więcej liści, znalazłam angielskie słowa:

WHERE – –SILON DWELLS
(GDZIE MIESZKA – –SILON)

Było tam kilka miejsc, gdzie brakło literek, zapewne wytartych bardzo dawno temu. W końcu, ktoś musiał chodzić po tych schodach. Ale nadal nie mogę przestać myśleć o tych brakujących literach. To wyglądało jak część jakiegoś dziwnego imienia.

Nagle wyobraziłam sobie, że stoję na schodach do bardzo starego domu z zapewne wspaniałą i długą historią. Ktoś tu kiedyś mieszkał, i zapewne tu umarł. Ktoś z literami „SILON” w imieniu. Kobieta? Mężczyzna? Stary? Młody?

Musiałam się dowiedzieć. Chciałam wejść ale całe przejście pełne było krzewów jeżyn z bardzo długimi kolcami. Wycinając je łopata, czułam tą ciszę. I ten upał, który potęgował się wraz z każdym wyciętym pędem, co było bardzo dziwne – wybite szyby w oknach, dziury, a właściwie brak dachu, czyli mnóstwo świeżego powietrza. Ale strasznie gorąco!

Owady bzycały latając wokół dzikich róż, które rosły wszędzie. Na zewnątrz i wewnątrz. Wiły się po ścianach i podłogach. Pnące róże – w Dużym Domu też jest z nimi problem. Obrastają wszystko wokół. („Trzeba je oswoić,” Zwykła mówić mama. „Po prostu zbyt zdziczały i tyle.” Hipokrytka. Jeśli chcecie poznać moje zdanie, to chyba ją trzeba trochę oswoić.)

W każdym razie. Łopata w końcu odcięła ostatni pęd jeżyn.

Może to moje oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do mroku? Może to słońce mnie trochę oślepiło? Nie jestem pewna. Ale widziałam, wyraźnie jak za dnia. Tylko przez chwilę.

W rogu chałupy stał mężczyzna. Bardzo wysoki, ubrany w długi, czarny strój. Opierał dłoń na starym, bujanym fotelu.

Lecz po chwili mrugnęłam i nagle on zniknął. Został sam czarny płaszcz. Wisiał na drzwiczkach kredensu, a jeden rękaw leżał na oparciu bujanego fotela.

Myślałam, że zaraz umrę, tak bardzo się przestraszyłam. Naprawdę! Dopiero po chwili, uświadomiłam sobie, tak naprawdę co odkryłam. Pomieszczenie było w pełni umeblowane. Idealne miejsce na kryjówkę. Czekam tylko, aż opowiem o wszystkim Avril.

Z jakiegoś powodu, strasznie trudno było mi zrobić następne kroki do przodu, w przeszukiwaniu mojego znaleziska. Cała chata mnie obserwowała – *wszystko* zdawało się mnie obserwować. Potłuczone szkło na szafce kuchennej w rogu, niby oczy, mrugało do mnie. Zakurzone lustro na ścianie, wychwytywało tylko blask moich oczu. No i te naczynia. Wszędzie naczynia. Na

półkach, stolikach, na podłodze. Naczynia i pudełka we wszystkich możliwych kształtach i rozmiarach. Wszystko przykryte liśćmi i kurzem, oraz pajęczynami w każdym bardziej zacienionym miejscu. Całe to miejsce było jakieś dziwne. Nie nieprzyjazne, tylko... Och, nie wiem! Czułam się tam jakaś nieproszona.

Jestem zawzięta – albo Oni tylko tak mówią. Tak czy inaczej gwizdałam sobie, jakby chcąc powiedzieć tym starym ścianom, że się nie boję. Ale chyba to gwizdanie było złym pomysłem. Wydawałam dźwięki, które łączyły się tworząc trochę orientalną melodię. Jeszcze nigdy nie gwizdałam takich melodii – to chyba przez ten budynek. Przestałam, ale te dźwięki rozbrzmiały mi w głowie, niczym niesamowity kawałek z Arabskich Nocy.

Zrobiłam krok do przodu.

Coś trzasnęło. Coś się poruszyło. Zakręciłam się dookoła.

Fotel się bujał!

Leciutko, bujał się i trzeszczał, a czarny rękaw na oparciu bujał się razem z nim, zupełnie jakby czarna dłoń poruszała fotelem.

Tego już było za wiele – wybiegłam. Na zewnątrz, na zewnątrz. Na polanę, gdzie radośnie śpiewały ptaki a owady cały czas bzyczały wśród róż. Słońce już zachodziło.

Pobiegłam na drugą stronę ogrodu i usiadłam pod starym płotem. Wpatrywałam się z przerażeniem w chałupę. Dyszałam. Nie mogłam przestać sapać. Wpatrywałam się w drzwi, okna. Górę i dół. A te patrzyły się na mnie, z zachmurzonymi oczami. „Trzymaj się z daleka” zdawały się mówić.

No, wiem że to brzmi śmiesznie, no ale na serio, to było dziwaczne. Bardzo, bardzo dziwaczne. Straszne.

To było tak jakby ta chałupa... ożyła. Albo nie chałupa. Coś w niej ożyło i patrzyło i... pilnowało?

Co kazało mi później przyłożyć spocone czoło do kamienia, żeby się lekko ochłodzić?

Co kazało mi oderwać ten przeklęty bluszcz, żeby odstąpić zimny kamień, do którego mogłam przyłożyć gorące czoło?

Co kazało mi wybrać i odstąpić to miejsce – jedyne miejsce w murze (oczyściłam to później i nie znalazłam nigdzie więcej) z jakimiś rzeźbieniami?

To było na wprost moich oczu. Strzałka.

Żołądek podszedł mi do gardła, i nadal nie wiem czemu. To była tylko strzałka, na litość boską! Strzałka wskazująca w dół, w ziemię. Ale.. co to za

dziwne miejsce na strzałkę! Tak blisko ziemi i prowadząca do nikąd. W głąb ziemi. Chyba że...

Ciekawość wzięta górę. Spojrzałam na drugą stronę, na chatę, ale teraz już nie było z nią nic złego. Po prostu stara ruina. To wszystko. Więc odwróciłam się do niej plecami i zaczęłam kopać.

Najpierw liście. Później kamienie i ziemię. Prawie metr. W dół. W dół, zgodnie z kierunkiem wskazywanym przez strzałkę. To była męcząca robota. Naprawdę. Ale nie poddawałam się.

Za mną, dom wyglądał teraz przytulnie i przyjemnie, jakby sobie drzemał w ciepłku. Nagle, zdawało mi się, że dom znów na mnie patrzy. Patrzy jak kopię. Patrzy z zadowoleniem, jak coraz gorzej mi to idzie. Szalona – szalona dziewczyna! Wzmocnij uścisk! Kop dalej!

Wtedy już wiedziałam, że coś znalazłam. I znalazłam – chwilę później, łopata uderzyła w coś z głuchym hukiem.

I tak właśnie znalazłam wiadro.

Rozdział Trzeci

CZAT. Dwóch użytkowników w pokoju:	Jess
	Avril

AVRIL: Wiadro? To wszystko? Myślałam, że powiesz skarb albo coś.

JESS: Chciałabyś. Oglądasz za dużo filmów. To jest prawdziwy świat.

AVRIL: To, jakie ono jest, to... e... wiadro?

JESS: Brudne. Albo, było jak je znalazłam. Później je umyłam. W moim pokoju – nie chciałam, żeby mama i tata je widzieli.

AVRIL: Dlaczego nie? Dlaczego trzymać w sekrecie wiadro? To miejsce daje ci się we znaki.

JESS: Jest drewniane. I z metalowymi obręczami. Żółtymi.

AVRIL: Złoto!

JESS: Nie trafione – to tylko mosiądz. Tak sądzę. Bardzo stary. Drewno

jest czarne i ciężkie.

AVRIL: I nic nie ma w środku?

JESS: Nic. Właściwie to jest – robak.

AVRIL: Więc, co zamierzasz z tym zrobić?

JESS: Z robakiem?

AVRIL: Nie, głupia – z wiadrem! Z tym nudnym, nudnym WIADREM!

JESS: Nie wiem.

PRZYCHODZI – V

V: Cześć Jess.

JESS: Ale coś jest wyryte na nim. Na podstawie.

AVRIL: Co?

JESS: Symbol – jakby pół piórka. I słowo. EPSILON.

AVRIL: Epsilon? Co to może znaczyć?

JESS: Nie mam pojęcia.

V: Cześć Jess.

JESS: Po prostu ignoruj tego intruza.

AVRIL: Intruza? ?

JESS: V. Ostatnio też złamał hasło. Pewnie jakiś chory młodzieniec. Po prostu go ignoruj.

AVRIL: Ignoruj kogo? Hej, muszę lecieć – Baz przyszedł. Przypuszczam, żeby odrobić lekcje.

JESS: Baz? Mój Baz? Nie ma mnie w domu dopiero tydzień, a ty i *mój* Baz już odrabiacie razem prace domowe?!!!!!!!!!!!!!!!

AVRIL: Twój Baz? Och, proszę – podaj mi wiadro. Ha ha.

JESS: Och, bardzo śmieszne.

AVRIL: Cóż, zostawiam cię teraz, żebyś mogła się zastanowić co zrobić z tym wiadrem i powiesz mi o tym jutro. OK?

JESS: <<.....>>

AVRIL: OK?

JESS: <<.....>>

AVRIL: Chlip chlip! Nadąsana! Cześć! XXX

ODCHODZI – AVRIL

V: Cześć Jess.

JESS: Och, spadaj! Przestań się wtrącać!

V: Właściwie, nie jestem żadnym młodzieńcem, jak powiedziałaś Avril. Jestem naprawdę bardzo stary.

JESS: Co z tego? Wielkie mi halo. No i co to V znaczy?

V: V jest literą, która nie jest literą.

JESS: ? Zawsze mówisz zagadkami? Och, po prostu odejdz.

V: Poczekaj do zachodu słońca. Wtedy połóż je na oknie. Dokładnie na środku.

JESS: Co?

V: Wiadro.

ODCHODZI – V

Rozdział Czwarty

Mój Pamiętnik

Może i Avril jest przykro. Ale jednak w jednym ma rację. Ten mój pokój jest idealny do tańca. I, Oni bardzo rzadko tu zaglądają. Prywatność. Mogę grać na gitarze tak długo, jak tylko chcę, wydobywać moją ukochaną muzykę. Albo, mogę udawać, że uczę się z tych Ich głupich książek do nauczania w domu. Głupi idioci.

Mogę ustawić moją muzykę, tak głośno, jak tylko można i tańczyć na całym poddaszu. A Oni, nic nie słyszą tam na dole. Pomiędzy nimi a mną jest jeszcze jedno, całe piętro. A tam nic ciekawego. Puste pokoje, stara łazienka i strasznie zakurzona, klaustrofobicznie mała biblioteka.

Mama i tata zagarnęli cały parter dla siebie. Mama nazywa to „ich azylem”. Jej pracownię plastyczną, i ciemnię taty. Jest tam też ich sypialnia. Dalej kuchnia, jadalnia i salon. Właściwie to dwa salony, całe wypełnione naszymi sprzętami i meblami ze starego domu. Jest tam straszliwy bałagan. Wszystkie te stare sprzęty, które kupiliśmy do tego okropnego, nie, OKROPNEGO domu, tłoczą się w każdym prawie pokoju.

Ale tutaj, na górze, jest zupełnie prościej. Lubię rzeczy proste. Łóżko już tu było, jak się wprowadziliśmy. Na zagłówniku ma wyrzeźbione łabędzie, w czterech rogach. Łóżko jest ogromne – dwuosobowe. Tata mówił, że będzie je strasznie ciężko znieść po kręconych schodach, więc, zatrzymałam je. Oczywiście, kupili nowy materac. Jest też moja nowa szafa na ubrania, drążek do ćwiczeń, sztalugi, stos płyt CD i laptop. Moje biurko i komputer, siedzisko

i półka na książki. No i moja lampa – globus. I to chyba wszystko.

Więc, są tu mile, mile wolnej podłogi. (Mój pokój jest drugą rzeczą jaką tu lubię najbardziej, ale nigdy nie powiedziałabym Im o tym.)

Nadal nie mogę zrozumieć tego problemu z komputerem. Avril nie widziała V kiedy on – albo ona – wchodził na czat. Po wydrukowaniu tych rozmów sprawdziłam wszystkie zabezpieczenia pokoju i przejrzałam historię. Okazało się, że przez cały czas na czacie były tylko dwie osoby – ja i Avril! A to jest przecież niemożliwe! Więc spojrzałam jeszcze raz na ekran. Cała rozmowa z Avril cały czas tam była, ale ani jednego słowa V czy mojej rozmowy z nim. To po prostu zniknęło!

Kimkolwiek jest V, Avril nie może jego/jej/tego zobaczyć. Mama i tata zawsze ostrzegają mnie przed zboczeniami w Internecie, ale to nie może być ktoś taki. Ponieważ ktokolwiek kto wchodzi do naszego pokoju, zawsze zostawia ślad – jest to częścią systemu zabezpieczeń. Ale ten V nie zostawił żadnego śladu. To tak jakby w ogóle nie istniał. Będę musiała spytać taty – komputery to jego druga miłość, więc powinien wiedzieć.

Tak więc – kim jest V? Co miał na myśli mówiąc: „V jest literą, która nie jest literą”? I skąd wiedział, że jestem na tej wyspie? Czy V też jest na Lume?

Muszę już kończyć – Mama mnie woła, obiad gotowy. Pachnie jak pozostałości ze spaghetti bolognese z wczorajszej kolacji. Super. Później napiszę więcej.

Rozdział Piąty

Mój Pamiętnik

To się zaczyna robić coraz bardziej niesamowite! A może to ja powoli wariuję? Ale zaczekajcie, dajcie mi powiedzieć wszystko od początku.

Po pierwsze, wczoraj wieczorem byłam uziemiona. Znowu. Jaki zepsuty dzień był wczoraj! Jestem wściekła na mamę. Ona i te jej listwy. Kazała mi wyszorować dwie, naprawdę długie, za to, że nie pomagałam jej przedwczoraj. Krowa!

Tata był cały czas zły – nawet kiedy te jego drogocenne kurczaki

przyjechały. Duża transakcja. Mnóstwo klaskania i skrzeczenia. Myślałam, że przywieźli ich ze sto, ale nie – były tylko dwa. Małe hałaśliwe rzeczy. Chyba to są karmazyny. Ciche, są nawet fajne. Jakby słodkie. Tata wypuścił je na nowym wybiegu – nie tej zagrodzie, którą kopaliśmy, bo przecież ukradłam łopatę. Przez co tak naprawdę ze mną nie rozmawia (znowu). Ma ten okropny zwyczaj, mówienia do czegokolwiek w pobliżu, zamiast do mnie, kiedy jest zły. Ostatniego wieczora mówił do kurczaków.

„Więc, moje ukochane kasztanowe panie, jak mam was nazywać?”

Kurczaki chyba go nie słuchały. Biegały dookoła gdakając i gdakając.

„Przepraszam? Co powiedziałyście? Wasze imiona to Gdak i Gdak-Gdak? Wspaniałe, wspaniałe! Jestem pewien, że Jess was polubi, kiedy tylko przestanie się dąsać. Jak to jest, że nie może przestać się na mnie wściekać i pójść zrobić mi herbatki. Prawda, Gdak-Gdak? I, że nie może tego zrobić bez krzywienia się. Chyba nigdy nie wysiedzicie żadnych jajek w tym tempie, biedne stworzonka!”

Mój tata. Jest taaaaaki żenujący.

I wszystko się ciągnęło tak do wieczora. A kolacja była okropna, strasznie się przedłużała. Mamę bolały plecy, przez to jej stanie przy sztalugach i malowanie. Ten ból zawsze powoduje, że zaczyna zrzędzić. Tata odszedł od stołu i wyszedł tylnymi drzwiami, żeby zrobić kilka zdjęć zachodu słońca nad morzem (swoją drogą, to dzisiejszy zachód słońca, był całkiem ładny).

Mama pytała mnie czy podoba mi się to nowe miejsce, i co tu lubię, i co myślę o tych wszystkich starych sprzętach i meblach z dołu, i czy nie chcę których do swojego pokoju. „Do twojego apartamentu, skarbie,” uśmiechnęła się głupio. Ciągłe i ciągłe – pytania i pytania. Czy spodobały by mi się patio i altanka z tyłu domu? A może oczko wodne? Szesnaście akrów starożytnej ziemi: czy podoba mi się to *wszystko*?

Pod koniec kolacji, już tylko siedziała cicho i cały czas tak się dziwnie patrzyła. Tata wrócił machając aparatem i przynosząc ze sobą słone powietrze. Zaczęłam przerzucać budyń ryżowy, wiedząc, że on już nadchodzi – formalny głos mamy.

„Jessica. Jeśli już tak bardzo chcesz nie lubić tego miejsca, to ja to rozumiem. Ale nie życzę sobie, żeby moja córka rozmawiała ze mną ciągle się dąsając i wzruszając ramionami. Jeśli nie potrafisz mówić normalnych słów, tak jak normalny człowiek, to weź tę swoją ciszę na górę, do swojego pokoju i dąsaj

się samotnie. Nie chcę już na to patrzeć.”

Te same, stare sposoby. Ta jej mowa dyrektora, jak zwykle.

Jakby tego było mało, tata wziął swój skarb – Canon EOS-1n, i zaczął do niego mówić.

„Przesłona znów zamknięta, co? Cały system wyłączony? To świetnie. Łóżko, myślę, że to jest teraz dla niej najlepsze miejsce – nieprawdaż, Elizabeth? Spróbujemy jutro.”

I tak właśnie byłam już w łóżku, strasznie wcześnie, patrząc na zachód słońca.

I wysłałam wiadomość. Nie wiem, co mogłam zrobić innego. Zastanawiałam się, co Avril o tym sądzi. Cokolwiek ona o tym sądzi, wiem, co ja o tym sądzę. Uważam, że całe to miejsce jest inne. A teraz jeszcze nie mogę zignorować faktu, że dzieje się tu coś bardzo, bardzo dziwnego.

CZAT. Dwóch użytkowników w pokoju:	Jess
	Avril

AVRIL: I co się później stało? Mówiłaś, że to było coś dziwnego!
POWIEDZ!!!!

JESS: Cóż, leżałam na moim łóżku. A ściany się pochylały – wiesz, to są ściany na poddaszu.

AVRIL: Tak to mogą być ściany z poddasza. Bo jesteś na poddaszu. Mmm.

JESS: Przestań albo ci nie powiem!

AVRIL: Dobra. Jedziesz.

JESS: Dobra, ale przysięgnij, że nie będziesz się śmiała.

AVRIL: Masz moje słowo.

JESS: Może tylko drzemałam, a może zachodzące światło, robiło jakieś sztuczki. Ale nagle, w rogu, na ścianie coś się pojawiło.

AVRIL: Pojawiło się?

JESS: No... coś jakby... mignęło. I zniknęło.

AVRIL: Jakieś odbicie czy coś?

JESS: Tak też myślałam. Coś jak – znasz te kryształy mojej mamy, co je rozwiesza w każdym oknie?

AVRIL: No.

JESS: Na początku też tak myślałam. Że zachodzące słońce oświetliło ten kryształ, tworząc właśnie taki refleks. Ale, Avril – na moim oknie nie ma zawieszonych kryształów!

AVRIL: A co z lustrami?

JESS: Jest tylko jedno lustro, przy drążku, ale to jakieś mile stąd, na drugim końcu poddasza.

AVRIL: I?

JESS: I sprawdziłam okno. Ale tam nie było nic błyszczącego, żeby mogło odbić światło na moją ścianę!

AVRIL: O. A czy ta opowieść dokądś właściwie zmierza?

JESS: Słuchaj!!! Nic nie ma na moim parapecie. Tylko wiadro.

AVRIL: Ach, to sławne wiadro. <<ziewa>>

JESS: Zamknij się i SŁUCHAJ! Światło znów błysnęło, ale tym razem było go więcej. Mnóstwo światła, jakieś dwa centymetry wysokości.

AVRIL: Nie mów mi. Otrzymałaś wiadomość od kosmitów, którą wysłali do ciebie z planety Zog.

JESS: Chcesz tego słuchać czy nie?

AVRIL: Nie.

ODCHODZI – AVRIL

JESS: Avril? Avril?

V: Odeszła.

JESS: Odeszła? Ale ona nigdy nie odchodzi bez trzech buziaczków.

V: Ja ją wyrzuciłem.

JESS: Ty mały draniu! Ale dlaczego? I kiedy ty w ogóle wszedłeś do pokoju?!

V: Byłem tu cały czas.

JESS: Jak, skoro nie ma żadnego śladu na moim komputerze?

V: Opowiedz mi o świetle. Co zrobiłaś?

JESS: Dlaczego powinnam ci mówić? Z tego co widzę, to ty nie istniejesz.

V: Powiedz. Szybko. Nie mamy zbyt wiele czasu.

JESS: Mało czasu? Kim ty jesteś? Co się dzieje?

V: Światło Jess. Co ZROBIŁAŚ?

JESS: OK, OK. Pohamuj entuzjazm! Stałam na krześle, żeby lepiej je widzieć, i szukałam jego źródła. OK?

V: I skąd ono pochodziło?

JESS: Z wiadra. Wiadra, które wykopałam koło starej chałupy. Tego wiadra, o którym ty mi powiedziałaś, żeby postawić je na oknie. Wiadra,

które jest zrobione z drewna i mosiądzu, bez żadnych błyszczących elementów, które mogłyby odbijać światło na ścianę.

V: I co się wyświetliło na ścianie?

JESS: <<.....>>

V: Przestań mnie ignorować i powiedz – co to było, Jess?

JESS: <<.....>>

V: Och. Zanim zdecydujesz, czy możesz mi zaufać czy nie, mogę ci przypomnieć, że nie mamy zbyt wiele czasu?

JESS: OK. Symbole. Wyświetliły się symbole. Trzydzieści siedem symboli, wyświetlanych na mojej ścianie, przez wiadro, a ja stałam na krześle, ryzykując, że złamię kark, tylko po to, żeby je zobaczyć i wszystkie je skopiować. A później słońce zaszło całkowicie i symbole się rozplynęły. OK, czy teraz mi wreszcie powiesz, proszę, co tu się dzieje?

V: Więc skopiowałaś je wszystkie. To dobrze. Cóż, reszta jest bardzo prosta. Wszystko co teraz musisz zrobić, to je przetłumaczyć.

JESS: No, tak, jasne. To wszystko?

V: Zrób to. Szybko.

JESS: Jak? I po co ten pośpiech?

V: Kamień wulkaniczny.

JESS: Przepraszam?

V: Czarne, kamienne schody, oczywiście. W chałupie.

JESS: Słuchaj. Kim ty jesteś? Skąd wiedziałeś o czarnych schodach? Nigdy o nich nie wspominałam Avril!

ODCHODZI – V

Rozdział Szósty

Mój Pamiętnik

Nadal jest strasznie gorąco. Ta pogoda przyprawia mnie o ból głowy. Nie wiem czy uda mi się to wszystko szybko skończyć. To dzieje się bardzo szybko – najpierw ta chałupa, schody, symbole, później ta strzałka w kamieniu, która zaprowadziła mnie do wiadra, które wyświetliło jakieś znaki na ścianie.

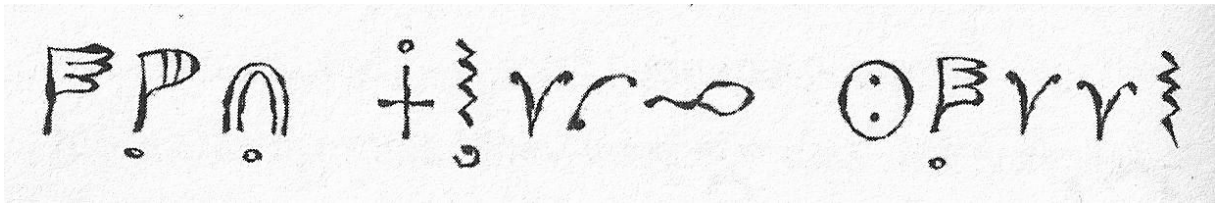
W końcu i tak nic nie wiem o V, kimkolwiek on/ona/ono jest – Avril nie może go zobaczyć i system zabezpieczeń mojego komputera też! To wszystko jest

zwariowane, w głowie mi się kręci.

Jednak, pobiegłam z powrotem do tej chatupy i przerysowałam symbole z kamiennych schodów. Przyjrzałam się im bliżej. Są naprawdę niespotykane – z czarnego, błyszczącego jak szkło kamienia. Chyba tajemniczy V ma rację – to jest skała wulkaniczna.

Oni myślą, że cały czas odrabiam moje prace domowe, więc poszli sobie na plażę szukać jakichś muszelek czy czegoś. Więc.

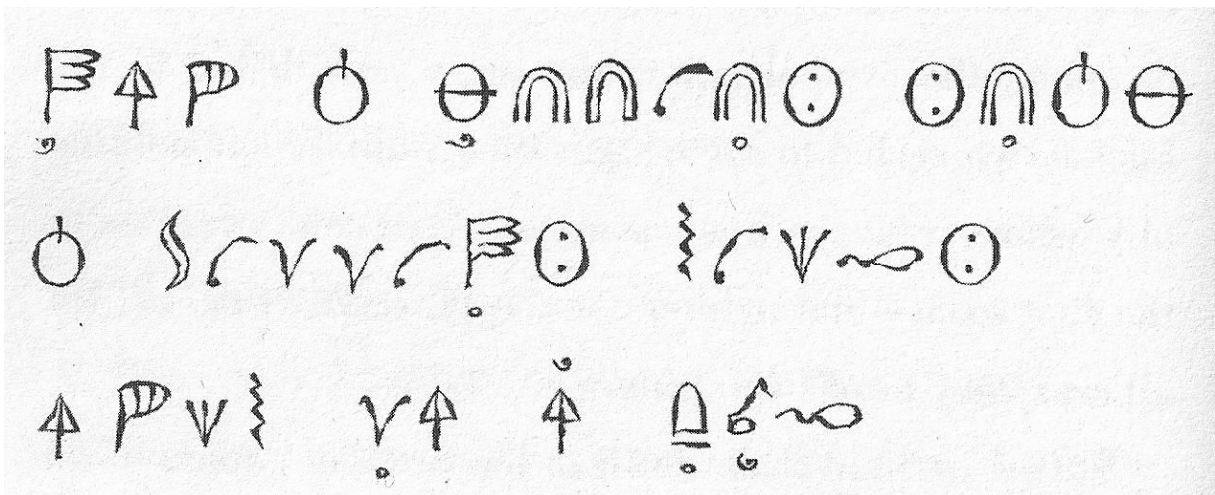
1. Tutaj są symbole ze schodów z chatupy:



2. Tutaj są angielskie słowa, zapisane pod tymi symbolami:

WHERE – –SILON DWELLS
(GDZIE MIESZKA – –SILON)

3. A tutaj są symbole ze ściany w mojej sypialni:



Chyba to już wszystko. Tak. Tutaj, w pamiętniku, wyglądają naprawdę dziwnie, jakby tu nie pasowały. Wglądają jak coś co możesz znaleźć w starym archiwum. Nie jak coś, co mógłbyś znaleźć w sypialni przeciętnej nastolatki. Tak naprawdę to nie chce mi się nad nimi pracować.

Ale nie mogę po prostu tutaj siedzieć i się na nie gapić. Tak. Zrobię to. Boję się, ale zrobię, choć nie wiem nawet co może się wydarzyć, kiedy to

wszystko odszyfruję.

No i przecież ja nie mogę ich *nie* odszyfrować – prawda? No bo kto na moim miejscu miałby na tyle siły, żeby to wszystko pognieść i wyrzucić? Jaki mam w ogóle wybór? Nie mam go wcale.

Jestem całkiem dobra w zagadkach i takich tam. Ale tutaj brakuje sporo elementów tej układanki. Prawdopodobnie jest tego za mało, żeby rozwiązać całą zagadkę. Wymyśliłam tylko, że te małe kropki i zawijasy, umieszczone nad i pod symbolami muszą być osobnymi literami. (Samogłoskami – E oraz I.) Rozwiązywanie tego samemu chyba zajmie mi wieczność – może nie jestem aż tak zdolna i sprytna jak myślałam. Nadal, jedna droga do rozwiązania. Proszę tutaj...

To wcale nie jest łatwe. Tak jak mówiłam – te kropki i zawijasy zabrały mi trochę czasu. Na początek, jest pięć liter w słowie 'where' (gdzie). Ale tylko trzy symbole pokrywają się z tym słowem.

Tak samo jest z ostatnim słowem – 'dwells' (mieszka). Sześć liter w wyrazie ale tylko pięć symboli.

Więc... te śmieszne małe kropki (albo zawijasy) *poniżej* symboli muszą być osobnymi literami. Tak. Wróćmy więc do słowa 'where'. Kropki poniżej muszą być samogłoskami E – ponieważ są one dwie, zupełnie jak w słowie 'where'.

Ta mała zakręcona kropelka pod literką w drugim wyrazie musi być więc inną samogłoską – I. (Coś coś 'silon'.)

Teraz to nabiera sensu.

Wracając do '–silon', chyba nie ma żadnego słowa, które by tu pasowało oprócz 'epsilon'. To jest jedyne słowo które znam z tej starej chaty. Epsilon był wydrapany na spodzie wiadra. To daje mi literkę P. Litery A, są naprawdę bardzo łatwe, bo to jednoliterowe słowa! No i literka 'I' już nie może być użyta, bo ją rozszyfrowałam.

To co już odgadłam:

WI-H A -IRRORED DREA-
A -OLLOVED SO-ND
-H-S LE- I- -E-IN

Dalej podążając alfabetem żeby znaleźć brakujące litery, nie jest możliwym, żeby niektóre z nich tworzyły zrozumiałe słowa z niepełnymi

wyrazami.


DREA– musi być słowem 'dream' (sen, marzenie). Nie może powstać

z tego nic innego, więc  jest literą M.


I– musi być słowem 'it' (to), bo mam już N, więc to nie może być 'in' (w),

i mam też S, więc to nie jest 'is' (jest).  musi być T.



TH–S musi być słowem 'thus' (tak więc), bo odgadłam już I, więc nie jest

to 'this' (ten). Zatem U = .

–OLLOVED musi być 'followed' (podążać), a H już odkryłam, więc nie

może to być 'hollowed' (wydrążyć). Czyli  to F.

I w końcu –E–IN musi być 'begin' (zacząć), ponieważ nic innego mi tu nie

pasuje! Zatem B to , a G to .

Skończyłam, lecz nie odgadłam całego alfabetu tylko całą wiadomość (czy co to jest). Jednak nadal brakuje w tym wszystkim sensu.

WITH A MIRRORED DREAM

A FOLLOWED SOUND

THUS LET IT BEGIN

(ZE SNEM, CO SIĘ ODBIŁ W TAFLI ZWIERCIADŁA,
MUZYKĄ, KTÓRA ZNIKĄD, PO KRÓTKIEJ CHWILI SPADŁA.
NIECH WIĘC SIĘ ROZBUJAJĄ ZEGARÓW WAHADŁA!)

Dobra. Mam wiadomość. Ale za nic nie mogę jej zrozumieć!

Niech to wszyscy... Mama mnie woła z drugiego piętra. Hm, nie chce jej się wchodzić po tych schodach na poddasze. Ale ja ją rozumiem. Przynieśli z tatą mnóstwo muszelek i jakichś skamieniałości...? Oni i te ich pasje. Muszę iść.

Rozdział Siódmy

Mój Pamiętnik

5.00

Właśnie śnił mi się mój pokój. Ten pokój. Ta sypialnia na poddaszu, ale w innym wystroju. Był tu ciężki stół a na nim mały model łodzi, a w rogu niebieska umywalka. Cała podłoga była z drewnianych desek, bez mojego dywanu pod łóżkiem, które było jedyne to samo. Moje ogromne łóżko z rzeźbionymi łabędziami w rogach zagłówek. Moje łóżko. Ale ktoś w nim spał!

Był to chłopiec – z brązowymi włosami. Mógł mieć jakieś trzynaście lat. Nadal próbuję go sobie narysować.

Nagle się obudził, usiadł na łóżku i zapalił świeczkę. Zeskoczył na podłogę. Miał na sobie koszulę nocną! Myślałam, że nie ma męskich. Podbiegł do stołu. Wziął pióro do pisania i zanurzył w atramencie. „Szybko, szybko!” – mamrotał do siebie. Grzebał w kałamarzu i chyba szukał tuszu, którego zapewne było już bardzo mało. Wyjął pióro i trzy krople spadły prosto na papier. Wytarł jedną kroplę palcem i zaczął pisać. Nie – nie pisać – zaczął rysować!

Nie mogłam dostrzec co tam rysuje. Ale, cokolwiek by to nie było, rysował bardzo szybko, szkic czegoś. Kiedy chyba już skończył, odwrócił kartkę i zaczął pisać. Więcej i więcej słów, szybko napisanych gryzmołów. Potem podbiegł do okna – mojego okna, ale z błyszczącymi od brokatu zastonami – i wyjrzał na zewnątrz. Ktoś tam szedł. Chłopak zwinął kartkę i wybiegł z pokoju.

Nadal był w tej koszuli nocnej.

Dwoma skokami był już na dole schodów, w małej kuchence. Zaczął pompować wodę, a kiedy w końcu popłynęła, napił się, mocząc swoją koszulę. Ale nie przejął się tym – wybiegł najszybciej jak potrafił przez tylne drzwi.

Biegł i biegł, z dala od domu, w stronę starej chałupy. Dźwięk jego stóp uderzających o trawę z każdym skokiem stawał się coraz rzadszy. Nagle rozległ się dziwny dźwięk. Przerazający. Jakby ktoś grał na flecie, bardzo, bardzo daleko stąd. Źródło tego dźwięku było gdzieś w kierunku tej chałupy.

Starłam się podążać za tym dźwiękiem, ale w tym śnie nie mogłam się ruszać szybciej, a dźwięk fletu stawał się coraz cichszy. Kiedy już całkowicie ucichł, mogłam słyszeć tylko szum morza, którego fale rozbijały się

gdzieś za krzewami przede mną.

I obudziłam się.

Włączyłam moją lampkę-globus aby się upewnić, że nie śpię i rozjaśnić trochę pokój. Lekko się przestraszyłam ciemności, której NIE zwykłam się bać. To dziwne uczucie po śnie, kazało mi zapisać go. Oraz naszkicować. Wszystko odłożę do tego pudła, które znalazłam w bibliotece, piętro niżej. Ten sen, był strasznie prawdziwy.

Ale – kiedy tu siedzę – *nadal słyszę ten dźwięk fletu!*

Bardzo, bardzo cichy. Cały czas, kiedy to pisałam, on cichł i cichł po trochu. Nie mogłam go po prostu zlekceważyć. Nie wiem czemu. W końcu zrobił się taki – no nie wiem – natarczywy? I nagle ucichł całkowicie.

Jestem pewna, że pochodził ze strony tej zniszczonej chaty. To nie wróży nic dobrego. Muszę tam później iść, żeby wszystko sprawdzić.

Nie. Muszę iść tam TERAZ.

6.00

Właśnie wróciłam z chatupy. Nie mogę utrzymać długopisu. Ręce wciąż mi drżą. Co tu się dzieje? Jestem przejęta grozą.

Chatupa była nadal w cieniu. Zimnym cieniu. Przerazające. Ptaki zaczęły już świergotać – ale ten dźwięk fletu był teraz jeszcze głośniejszy. Pochodził z za drzwi chaty.

Drzwi były zamknięte! A ja je otwierałam trzy dni temu! Kto je zamknął? Może wiatr? Niedorzeczność – były zbyt zardzewiałe, żeby wiatr je w ogóle mógł poruszyć.

Domino też nie lubi tego budynku. Nie chciał nawet podejść bliżej, do tych schodków przy drzwiach. Usiadł w ogrodzie. Wołałam go i wołałam, ale on tylko siedział i cały się trząsał.

Złapałam za klamkę, zdecydowana zrobić to szybko – pchnęłam i drzwi się otwały.

Dźwięki fletu zniknęły.

Ale sam flet nie zniknął. Spadł z powietrza na stół i potoczył się po podłodze. Ktokolwiek na nim grał, upuścił go. Ale nikogo tam nie było.

Nagle, nogi miałam jak z waty. Z tyłu, Domino zaczął warczeć.

Nie wiem jak opisać, jak się wtedy czułam. Chora, spocona, lepka. I nie

mogłam uciec. Musiałam tam wejść i wziąć ten flet! To było tak, jakbym po prostu nie miała wyboru. Jakoś, w końcu weszłam i go wzięłam.

Wróciłam do domu.

Flet był zrobiony z drewna. Coś było wyrzeźbione na ustniku.

Nieregularny symbol Epsilonu. Jakby lekko przekrzywiona, połowa piórka:



Flet był suchy i zakurzony. Wyglądał, jakby nikt nie grał na nim od ponad stu lat.

Podniosłam go do ust i dmuchnęłam. Nic. Zablokowany – mnóstwem kurzu i jakichś paskudztw. Spojrzałam do środka. Było tam coś zwiniętego. Może papier? Wzięłam głęboki wdech i wydmuchałam do. Kartka wyleciała z głośnymi piskiem fletu.

Papier wyglądał na stary. Był cały pozółkły. Musi mieć jakieś pięćdziesiąt, nie – sto lat! Rozwinęłam go i odwróciłam. Kiedy tylko spojrzałam na papier, opadłam na kolana, prosto na mokrą podłogę w kuchni.

To był rysunek. Portret dziewczyny.

Dziewczyny w łóżku. Łóżku z czterema łabędziami, wyrzeźbionymi w zagłóWKu.

Tą dziewczyną, byłam ja.

A tutaj, to co przeczytałam z drugiej strony kartki.

Właśnie przed chwilą śniłem o dziewczynie. Spała w mojej alkowie, w moim łabędzim łóżku. Zupełnie jak Epsilon powiedział. „Szukaj snu, który nie jest snem.” Ta elegancka dziewczyna była niezwykle prawdziwa. Narysowałem ją z tyłu tej karty.

Obudziła się – sama w ciemności – i nagle Ziemia pojawiła się nad jej dłonią! Planeta Ziemia, ale bardzo mała, unosiła się nad jej palcami. Niebieskie morza, zielona Afryka – och, wszystko, bardzo małe i jaskrawe, jaśniejsze od świateł, jaśniejsza nawet od żyrandola na dole!

Obok jej łóżka był czasomierz – ładny, srebrny. Tylko bogatych stać na czasomierze. A była ubrana w przepiękną, jedwabną koszulę nocną, z pastelowo niebieską, niezwykłą koronką.

Był tam dywan. Też niebieski – niebieski niczym morze – ale przykrywał połowę podłogi! Krawędzie kończyły się przy samych ścianach! Jeden dywan, albo kilka dywanów, zszytych razem? Nie umiem powiedzieć. Ale czułem jego

miętkość pod stopami.

Dziewczyna napisała coś piórem na czarno, ale nie musiała go maczać w atramencie. Pisała bardzo długo i nie musiała uzupełniać tego pióra! W końcu podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Ale zastony nie były te, które zrobiła dla mnie Mama. Te były delikatne jak pajęczyna – falowały jak srebrne flagi. Ona dostrzegła coś na zewnątrz, na dole, i założyła BRYCZESY! A śpieszyła się jak na jakiś alarm.

Później zbiegła na dół po schodach, gdzie czekała na nią bestia, która okazała się być psem. Całym czarnym z trzema białymi plamami na grzbiecie. Dziewczyna podbiegła do umywalki i naląła sobie wody ze srebrnej pompy, której nie musiała pompować! Używała najlepszych kryształów, jakich używa szlachta. Potem wybiegła na zewnątrz wraz z psem, w stronę nadmorskiej chaty.

Ale przecież nikt nie wiedział o tej chacie! Tylko ja i Epsilon.

Może ona też jest zaczarowana? Miała małą, ładną twarz, i włosy czarne jak gawronie skrzydła. W nosie miała srebrny kolczyk. W antyku, jak mówił mi Epsilon, wyznawcy Horusa nosili koczyki, jako symbole, dla innych wyznawców. To mnie zaalarmowało. Spisałem wszystko co widziałem, tak jak kazał mi Epsilon. Polecił mi wszystko zapisywać w dzienniku. Kimkolwiek jest Epsilon, myślę, że jest najlepszą osobą, której można zaufać. Więc muszę wziąć to wszystko do niego, i spytać co dalej robić.

Bóg mi świadkiem. Zapisuję to moją dłonią, czternastego dnia miesiąca lipca, roku pańskiego tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego. Sebastian Wren, lat trzynaście.

Na kartce były jeszcze trzy kleksy czarnego atramentu, które zrobił z pośpiechu. I jeden odcisk palca. Prawdziwy odcisk palca, z tymi wszystkimi liniami i zawijasami. Prawdziwy. Nie takiego wymyślonego chłopaka ze snów. Prawdziwy odcisk chłopaka, którego imię znam.

Ponad sto lat temu, chłopiec imieniem Sebastian Wren śnił o dziewczynie na poddaszu. Dziewczynie, która włączyła swoją lampkę-globus i napisała coś zwykłym długopisem, i przebiegła po swoim wyciętym na miarę dywanie do okna, i odstąpiła zastony z IKEI, i piła z normalnej baterii, i pobiegła do starej, zniszczonej chaty. Zupełnie, jak niecałe dwie godziny temu ja to zrobiłam – zaraz po przebudzeniu ze snu o NIM!

Teraz, to wydaje się całkiem łatwe do rozszyfrowania – „MUZYKA, KTÓRA

PO KRÓTKIEJ CHWILI SPADŁA". Flet. Ale wiem też, co – „SEN, CO SIĘ ODBIŁ W TAFLI ZWIERCIADŁA” – znaczy. Nasze sny były takie same. Te same rzeczy działy się w każdym z nich.

Narysowałam go, jak wyglądał zaraz po przebudzeniu się ze snu o mnie. On narysował mnie, jak ja wyglądałam, zaraz po przebudzeniu się ze snu o nim.

Co się teraz zaczęło?

Czy już „ROZBUJAŁY SIĘ ZEGARÓW WAHADŁA”?

Och, nie mogę przestać ciągle o tym myśleć. Chyba będę dzisiaj chora.

Rozdział Ósmy

Mój Pamiętnik

Nic nie napisałam przez ostatnie dwa dni. Nie zrobiłam *nic* przez ostatnie dwa dni – nie licząc wyjścia do łazienki. Kiedy pisałam, „Chyba będę dzisiaj chora”, nie myliłam się! Wymiotowałam już tyle razy, że czuję się strasznie pusta.

Mama chyba czuła się winna mojej choroby. Powiedziała, że da mi jedną ze swoich bezcennych skamielin. (Och, super. Skamieniała marchewka. Czemu ona nie może dać mi jakiejś płyty jak inne mamy?)

Wysłała mnie do lekarza.

„Dzięki Bogu, jest na tej wyspie chociaż jeden!” powiedziała. „Co jeśli to zatrucie pokarmowe? Och, mówiłam tacie, żeby nie podgrzewał tego spaghetti. Mówiłam!”

„Och uspokój się duża dziewczyno! To nie może być moja wina! Jak się czujesz córeczko?”

„Makaron nie powinien być *nigdy* podgrzewany dwa razy! Wszystkie książki o tym mówią!”

„Elizabeth. Ty i ja, też to zjedliśmy i nic nam nie jest. Nie może to być więc zatrucie pokarmowe. Proszę, uspokój się.”

„Uspokój się? Uspokój? Skoro to nie może być zatrucie to może to być cokolwiek! Nawet zapalenie opon mózgowych!”

„Przestań krzyczeć. O, dzwonek do drzwi. Doktor przyszedł.”

Na szczęście, lekarz wyprosił rodziców z pokoju, ale i tak, mama zatrzymała się w połowie schodów i wszystko widziała.

Doktor Parker jest tym typem kolesia, o wielkich rozmiarach i grubym głósie, który chciałby być kumplem każdego.

„Mów mi Charles, młoda damo. Mów mi Charles.”

Rozumiecie o czym mówię. Ale ja nie mogę nazywać nikogo Charles, kiedy jest on lekażem, który na dodatek, bada moją klatkę piersiową stetoskopem. Prawie padłam z zażenowania.

Cóż, wykonał te wszystkie dziwne czynności, które robią wszyscy lekarze i poprosił mamę, żeby odeszła na chwilę. Kiedy zeszła na dół i zamknęła drzwi, on usiadł przy mnie na moim łóżku.

„Więc, młoda Jessico. To nie jest zatrucie ani nic gorszego, czego obawia się twoja matka. Bardziej prawdopodobne jest przegrzanie organizmu. Czy robiłaś ostatnio jakieś wyczerpujące rzeczy? Może taniec?”

Kiwnął na drążek baletowy, a później dostrzegł porozrzucane kartki.

„I sporo pisałaś, widzę. Pracujesz nad czymś bardzo specjalnym?”

„Nie! To znaczy, tak, tańczyłam. Ale ja nie byłam. To znaczy, jest za gorąco. Do tańczenia.”

Było w nim coś takiego, przez co byłam strasznie podenerwowana. Miał bardzo dziwne niebieskie oczy – tak przenikliwe, że wyglądał jakby patrzył przeze mnie, na wskroś.

„Więc. Co myślisz o Lume? Trochę za cicho, jak na dziewczynę z miasta. I to w twoim wieku, co?”

„Cicho? Martwo!”

„Uhm. Więc – jak wam idzie wykańczanie tego wszystkiego? Nieco to niespodziewane, prawda? To znaczy, wszyscy wiedzieli, że ten dom do kogoś należy, ale nikt się tutaj nie pojawiał od ponad dwudziestu lat. Myśleliśmy, że wszystko w końcu zniszczeje i się zawali! Aż tu nagle zjechali się robotnicy z cementem i tymi dekoracjami i Bóg wie jeszcze z czym.”

I nagle, opowiedziałam mu o wszystkim – po prostu to się ze mnie wylało. Jak ja nienawidziłam tego miejsca i chciałam wrócić do miasta. Jak Mama i Tata nie dali się przekonać. Jak zostałam wydalona ze szkoły za picie piwa i palenie skrętów i uciekanie z zajęć sportowych. Jak Mama powiedziała, że jedynym sposobem na odciążenie mnie od Avril, jest przeprowadzka tutaj. Jak nie odzywali się do mnie, kiedy przekłułam sobie nos, zaraz przed wyjazdem. Jak

Tata interesował się tylko aparatami. Jak te kryształowe mamy i jej medytacje i te „poszukiwania samej siebie” wywróciły nasze życie do góry nogami. Jak ona myśli tylko o malowaniu, malowaniu, malowaniu.

„Cóż – to jest jej praca, prawda?” odpowiedział. „Portrety? Tak przynajmniej dowiedziałem się z telegrafu. Nie przyjeżdża do niej jakiś urzędnik, żeby je sprzedawać za granicą?”

„No, tak, ale...”

„Ale co?”

„Nie wiem.”

„Ach, to słynne, nastoletnie, bagatelizowanie wszystkiego. Posłuchaj, Jess – twoja mama jest malarzem, więc spędza dużo czasu przy farbach. Twój tata jest fotografem, więc i on spędza dużo czasu przy aparatach. To ich praca! Ja jestem lekarzem, więc spędzam dużo czasu z chorymi ludźmi. I twój stan, na pewno się poprawi. Obiecuję ci. Po prostu, spróbuj odpocząć. Daj rodzicom szansę. Daj szansę *Lume*, OK? Nie jesteśmy tutaj jacyś staromodni. Tyle mogę ci powiedzieć.”

Staromodni! Tylko staromodni, używają takiego staromodnego języka.

Patrzyłam się na niego, zastanawiając się, dlaczego on mówi tak głośno. I wtedy, nagle, jego oczy spoczęły na czymś nowym. Przypadkowym. Nieprzypadkowym. „Gdzie na ziemi to dostałaś?”

„Co?”

„To wiadro.”

Podszedł do okna i podniósł wiadro z parapetu. Nieoczekiwanie, mój żołądek się skręcił. Chciałam do niego krzyknąć, „Odłóż je! *Odłóż je!*” On odwrócił wiadro i podniósł nagle do światła.

„Będziemy mieli małe przyjęcie za dwa tygodnie.” Powiedział w roztargnieniu pieszcząc palcami stare drewno. „Dlaczego mielibyście nie przyjść? Mieszkańcy by was lepiej poznali. Już zaczynamy myśleć, że jesteście jakimiś pustelnikami.”

Nagle odechciało mi się patrzeć na to, biernie siedząc na łóżku. On nie mógł zobaczyć wrytego na dnie wiadra symbolu. Nie mogłam na to pozwolić. Po prostu wstałam i chciałam je zabrać, ale on tylko je ode mnie odsunął i odwrócił do góry dnem i wlepił wzrok w dno wiadra. Oboje zamarliśmy.

Za późno. Za późno. Zobaczył to.

Zrobiło mi się niedobrze. Czuję się, tak, dziwnie. Jakby, kiedy odwrócił

wiadro, coś się z niego wylało. Jakaś ciemna, straszna masa, która zaczęła zalewać cały świat dookoła, oddzielając mnie od wszystkiego. To coś, te cienie, ten mrok, objął mnie, niezatrzymanie, przerażająco, coś co było zamknięte teraz odzyskało wolność. I – było wściekłe.

Oboje staliśmy niewzruszenie, ja patrzyłam się na niego, on na wiadro.

„No, no, no.” Powiedział w końcu. „Epsilon, tak? Jakies pomysły, co to może oznaczać?”

Wzruszyłam ramionami, a on podniósł na mnie swoje niebieskie oczy. Ufałam mu – prawda? Wystarczająco, żeby móc opowiedzieć mu o mojej niedoli. Ale coś we mnie kazało mi zaraz zabrać to wiadro z dala od niego i kazać wyjść.

„Więc, gdzie żeś wykopała coś takiego?” powiedział.

„Ja nie. To znaczy, nie wykopałam tego. To znaczy, zawsze je miałam. Przywiozłam je ze sobą. Z domu.”

Uśmiechnął się do mnie i odłożył wiadro na miejsce. Nie dokładnie na środku parapetu, co strasznie mnie denerwowało.

„Rozumiem. No więc – nie mogę przecież prosić byś zносиła moje towarzystwo, co? Przyjdziecie więc na przyjęcie, mam nadzieję.”

Przytaknęłam. Raczej nie jak na zaproszenie, raczej jak na rezerwację.

„Powiem o tym twoim rodzicom. Tymczasem, młoda damo – żadnego więcej biegania nad klifami w upale, tak? Są teraz bardzo upalne dni, Jessica. Musisz to zrozumieć. Nawet na kontynencie ludzie padają teraz jak muchy od upału, a tutaj? Na wyspie? Jest jeszcze gorzej, bo jesteśmy jakby soczewką na oceanie. Zrozumiałaś. Nie przepracowuj się i tak dalej. I pij. Pij dużo, żeby się nie odwodnić!”

I poszedł.

Kiedy odłożyłam wiadro na środku parapetu – tam gdzie powinno być – poczułam, jakby było lżejsze. Jakby coś się jakoś z niego wylało. I było coś jeszcze.

Słowo 'epsilon' zniknęło. Nie było też tego symbolu.

Spód wiadra był gładki.

CZAT. Dwóch użytkowników w pokoju:	Jess

JESS: No dalej, czekam.

JESS: No dalej, V!

JESS: No dalej, V. Wiem, że tam jesteś.

V: Jak ja mogę tu być? Przecież, tylko ty jesteś w pokoju.

JESS: Przestań grać w te twoje głupie gierki. OK. Wiem już kim jesteś.

V: Wiesz? Jak?

JESS: Rozwiązałam twoją zagadkę. Znam twoje imię.

V: Udowodnij to.

JESS: „V jest literą, która nie jest literą.” Więc V musi być cyfrą!

V: Logiczne.

JESS: Literka V jest 22 w angielskim alfabecie. Tak?

V: <<śmieje się>>

JESS: Co nic mi nie mówi, bo to jest zły alfabet, prawda?

V: Jesteś bystrzejsza niż się spodziewałem.

JESS: Ale w rzymskiej numeracji, V oznacza piątkę.

V: A!

JESS: Co także nic mi nie mówi. Chyba, że...

V: Chyba, że co?

JESS: Chyba, że wrócę teraz do tego złego alfabetu! Gdzie piątą literą jest E! Więc E jest twoim inicjałem.

V: Myślałem, że znasz całe moje imię – nie tylko inicjał.

JESS: A piątą literą, innego alfabetu – greckiego – jest pewien antyczny symbol. Coś jakby połówka piórka. I ta litera to...

V: No?

JESS: EPSILON! Witaj, Epsilon.

E: No nareszcie! Już myślałem, że nigdy na to nie wpadniesz.

JESS: Ale wpadłam. Jestem wspaniała, prawda?

E: Niespecjalnie. Ale będziesz.

JESS: Super, dzięki.

E: Więc, byłaś w małej biblioteczce na drugim piętrze.

JESS: E, no tak. Skąd wiedziałaś?

E: Bo gdzie indziej mogłabyś znaleźć książkę z greką w środku?

JESS: <<.....>>

E: Podczas gdy mnie ignorujesz, chciałbym ci powiedzieć, że będziesz jeszcze potrzebować tej biblioteczki. Używaj jej.

JESS: Słuchaj no – kim ty jesteś? To znaczy, znam twoje imię. No i jeszcze ten Sebastian Wren. Ale nie wiem czym ty JESTEŚ! Wydajesz się wiedzieć wszystko o mnie.

E: Dlaczego więc postanowiłaś mi zaufać?

JESS: Nie wiem.

E: Zachowuj się dojrzałe, a nie jak głupia nastolatka! Znowu! Powiedz mi!

JESS: <<wzdycha>> OK, twój podpis. Na wiadrze. Ja NAPRAWDĘ nie chciałam, żeby lekarz to przeczytał. Poczułam... że muszę to przed nim ochronić.

E: To dobrze.

JESS: Dlaczego dobrze?

E: Dobrze, że podążasz za swoim instynktem. Dobrze, że chcesz aby wiedziało o tym jak najmniej osób.

JESS: No tak. Ale dlaczego? Dlaczego nie ten lekarz?

E: Skąd możesz wiedzieć, że można mu zaufać?

JESS: A skąd mam wiedzieć, że mogę zaufać tobie? Nawet jeśli Sebastian ci zaufał.

E: Jak się okazało, niewystarczająco mi zaufał. Za mało.

JESS: Ale ja muszę być szalona, żeby ci ufać! Wszystko co o tobie wiem, to tylko to, że nikt nie może z tobą rozmawiać i cię widzieć w komputerze prócz mnie. Ty cholera jasna nie istniejesz! I Sebastian wiedział o tobie więcej niż sto lat temu! Czym ty jesteś – duchem?

E: <<śmieje się>>

JESS: Nie śmiej się ze mnie! Ja się boję!

E: Przepraszam. <<nadal się śmieje>> Bardzo przepraszam. Ale cóż, masz rację. Może nadszedł czas na lekcję historii.

JESS: Mówisz jak moja mama!

E: O! Coś o twojej matce – co by tu powiedzieć? Jest w niebezpieczeństwie.

JESS: Niebezpieczeństwie? Noooo, naprawdę mnie to obchodzi!

E: To nie jest śmieszne.

JESS: Nie jest? Ale sam się śmiałaś, dosłownie przed chwilą.

E: A dlaczego spojrzałaś przez ramię?

JESS: Co?

E: No właśnie wtedy. Spojrzałaś przez ramię, do tyłu, w kierunku okna. Dlaczego?

JESS: <<.....>>

E: Tak. Widzę cię.

JESS: <<.....>>

E: Ale nie tylko ja.

JESS: <<.....>>

E: Przepraszam, że cię straszę.

JESS: Nie jestem przestraszona. Jestem przerażona!

E: Rozumiem więc. To dlatego zagładasz przez ramię właśnie w tej chwili. Bo nie czujesz się po prostu wystraszona. Czujesz się obserwowana.

JESS: Oh, do diabła!

E: Mówiłem ci. To nie jest śmieszne. A i tak przy okazji – nadal nie zbadalaś reszty tej chaty.

JESS: Zapomnij o chacie. Kto jeszcze może mnie widzieć?

E: Ktoś kto wie, że to już się zaczęło. On obserwuje.

JESS: Kto? Jak ma na imię?

E: W twoim języku?

JESS: Oh, tak! Prooooooszę – nie kolejną łamigłówkę. Przez nie ciągle wymiotuję.

E: Dobrze więc. Myślę, że możemy go nazwać... Okiem Miradela.

JESS: Oko Miradela? Co ty sobie myślisz, że kim jesteś? J.R.R. Tolkien?

E: <<wzdycha>> Po prostu wróć do chaty i poszukaj Sebastiana, dobrze?

JESS: Ta, jasne. Łatwizna. Idź i znajdź słodkiego małego Sebcia, który żył sto lat temu. Później spytaj go o Oko Miradela – w pełni księżyca, najlepiej...

E: Stajesz się nieznośna.

JESS: ... z trzema wiedźmami na Wrzosowisku i z pojękiwaniem wilków w tle. Oh, i nie zapomnij jeszcze –

E: Po prostu idź to tej chaty i wejdź na górę, dobrze?

JESS: ... i nie zapominaj, że „Tam są smooooki!!!”

<<zakrywa twarz kartką papieru>>

Buuuuuuuu!

ODCHODZI – JESS.

Rozdział Dziewiąty

Mój Pamiętnik

Mama i Tata myślą, że wypoczywam. Właściwie to tak – tutaj w starej chałupie. Przyniosłam ręcznik i kilka gąbek i wyczyściłam bujane krzesło. Teraz siedzę w kuchni, myszkuję po kątach i odnajduję nowe rzeczy.

Na górze jest całkiem przytulnie – jeśli oczywiście przyzwyczaić się do gorąca. Lecz musiałam w końcu zejść na dół bo było mi za duszno. I, tam jest tylko jedno pomieszczenie gdzie mogę wejść bez narażania się na oberwanie zawalającym się nagle dachem. Inny pokój jest mimo wszystko pusty, jeśli nie liczyć leżących wszędzie listew i desek, które odpadły od dachu, widziałam też dachówkę albo dwie. Och – i to gołębie gniazdo. (Nie wiem kto tam bardziej trzepotał skrzydłami – ja czy gołębica!)

Główna sypialnia wyglądała całkiem bezpiecznie, i nie mam na myśli jedynie całego dachu. Po prostu tam była zupełnie inna atmosfera – zaraz po pierwszym kroku do środka czujesz się inaczej. Zupełnie jak w filmach science-fiction, kiedy bohaterowie przechodzą przez barierę czasu albo coś. Łóżko nie jest takie zwykłe – to jest hamak. A ściany są całe przykryte grubymi, orientalnymi dywanami; szkoda, że są strasznie zakurzone i brudne. Na początku pomyślałam, że trochę tam posprzątam. Pociągnęłam za jeden z dywanów przy oknie. Czuję, że strzępi mi się w palcach. Tyle pozostało mi z pomysłu posprzątania.

Kimkolwiek mógł być Epsilon, był prawdziwym brudasem. Wszędzie porozrzucone naczynia ze starymi zawijanymi napisami: coś w stylu SCZERNIAŁY TYMIANEK i TŁOCZONY OLEJ LAWEDNOWY, a jedno mówiło PRZYPRAWY Z ORIENTU. Wąchałam sobie wszystko kiedy nagle prawie się przewróciłam – zapach nadal był ostry i nagle uderzył mi do głowy! Może Epsilon był jakimś zielarzem? Nadal mówię *był*, ale oczywiście nieważne czy był, on nadal *jest*. Nadal ciągle o nim rozmyślam, w kółko i w kółko. Czasami myślę sobie, że może to jest jakiś przyszczaty haker, który siedzi sobie gdzieś na kontynencie i ma niezły ze mnie ubaw. Ale jak to możliwe? Jestem teraz w jego domu. Albo, w jego byłym domu. Jak powiedziałam, w kółko i w kółko.

Tak czy owak, jest tu mnóstwo do obejrzenia, a ja prawie zapomniałam

po co tu przyszłam. Na przykład, na ścianie są dwie ogromne mapy nieba. Stare z wyblakłego pergaminu – nawet nie śmiałam ich dotknąć. Na jednej mapie były znane mi konstelacje – Orion i Wielka Niedźwiedzica i Plejady i cała reszta. Na drugiej mapie były gwiazdy o których w życiu nie słyszałam: Łabędź (Cygnus) i Gienah, i Tau i Sadr. Mapy były rękodziełami, z bardzo ładnymi literami, i zgadnijcie co znalazłam w rogu pergaminu. Imię Epsilon, napisane symbolami, i jego podpis – tą przekrzywioną połowę piórka! Gapiłam się na to głupio –

jakbym oglądała znalezione właśnie zdjęcie mojego starego przyjaciela. 

Było tam więcej rzeczy z jego imieniem – głównie w kasecie. Kasetę to jedno z tych starych rzeczy z mnóstwem przegród, w których upchane są papiery, książki, koperty i cała reszta różnych przedmiotów. Muszę się przyznać, iż uwielbiam myszkować, przez co wydałam wtedy pisk zadowolenia i zaczęłam przeszukiwać całą kasetę.

A to była najdziwniejsza rzecz – nie mogłam dotknąć papieru.

Próbowałam znowu i znowu, ale kiedy moje palce prawie już je miały, coś mnie zatrzymywało. Mogłam dotykać piór – suchych, poplamionych tuszem rzeczy – i pojemników z atramentem porozrzucanych wszędzie wokół. To było tak jakbym miała 'przyzwolenie' patrzeć jedynie na rzeczy, które leżały na środku, a inne po prostu mi umykały. Nagle, poczułam że się chwieję.

Jak ja tego nienawidzę – uczucia jakby ktoś mnie obserwował, kontrolował moje postępowania. Uniemożliwiał robienie czegoś. Epsilon? Za pierwszym razem gdy byłam w tym pokoju, miałam gęsią skórę na całym plecach, zupełnie jakby ktoś gapił się na mnie za plecami.

Strasznie niespokojna, wyprostowałam się i spojrzałam do tyłu przez ramię. Kiedy to robisz z nerwów i niezupełnie spodziewasz się kogoś zobaczyć, tym większym szokiem jest, kiedy kogoś widzisz! Ponieważ to znowu był on.

Ten mężczyzna stał tam – przy zasłonach. Bardzo wysoki mężczyzna w długim ciemnym płaszczu. Stał tam nieruchomo wpatrując się prosto we mnie. Omal nie dostałam zawału! Wtedy mrugnęłam i nie było tam żywej duszy. Nikogo, tylko wysokie lustro skąpane w ciemnościach, i ja w nim, blada jak ściana.

Musiłam usiąść, uspokoić się, pomyśleć. Tylko ja w lustrze. Ale nie ja. Widziałam go – jego długi płaszcz. Jego zdeterminowaną twarz. Czy to Epsilon mnie obserwował i chciał zatrzymać mnie od obejrzenia jakichś dokumentów, prywatnych rzeczy? Albo – co jest jeszcze straszniejsze – był to 'ten drugi' który

mnie obserwował? Oko Miradela?

Co słowo 'Miradel' właściwie znaczy? Postanowiłam, że znajdę odpowiedź. Może to nazwa jakiegoś miejsca? Jeśli znalazłabym mapę, mogłabym odszukać 'Miradela' na wyspie i może odszukałabym jednocześnie tego drugiego, który mnie obserwuje – tego, przed którym ostrzegął mnie Epsilon. Ale nie byłam pewna, czy naprawdę chcę się tego dowiedzieć. To wszystko było zbyt przerażające.

Ale wtedy dotarło do mnie, że nawet jeśli to stał tam Epsilon, nie mógł mieć na myśli żeby wyrządzić mi jakąś szkodę. Bo przecież, to on mnie tutaj zaprosił. Epsilon *powiedział* mi żeby tu przyjść i znaleźć coś związanego z Sebastianem. Więc to było to co miałam zrobić. W końcu uspokoiłam się na tyle, żeby kontynuować poszukiwania. Cały czas drżąc ze strachu, podeszłam powrotem do tej dużej kasety.

Była tam spora szuflada, również z wydrapanym symbolem epsilon. Odkryłam, że mogę ją łatwo otworzyć.

W środku były trzy pudełka, wszystkie starannie ułożone. Zdmuchnęłam większość kurzu i podniosłam jedno z nich. Były całkiem małe, około dwanaście centymetrów długości, wszystkie z tego samego drewna, wszystkie z srebrnymi dziurkami na kluczyk. A w rogu szuflady – kluczyk.

To jest naprawdę piękna rzecz – srebrny, pełny zawijasów i kótek na części do trzymania. Uśmiechnęłam się, gdy ujrzałam ząbki klucza. Cóż innego, jak nie kształt epsilonu?

Kluczyk pasował do każdego pudełka, ale tylko jedno dało się otworzyć. Pierwsze w linii. Otworzyło się z cichym kliknięciem. W środku były kolejne papiery. Trzy arkusze. Rozwinęłam je ostrożnie.

Jeden miał narysowane symbole. Jeden wyglądał, jakby były na nim słowa jakiejś piosenki. Ostatni był zatytułowany – *PAMIĘTNIK*. I chociaż widziałam jego pismo tylko raz, od razu je poznałam. Sebastian Wren.

Dziwne uczucie chłodu wyrosło mi w dole brzucha i rozeszło się po całym ciele. Sebastian Wren, który żył ponad sto lat temu, i wreszcie który śnił jakoś o mnie. Tu, w mojej ręce, leżały kolejne kartki zapisane przez niego – kartki z jego pamiętnika, stare i wyblakłe. To było jakby on wyciągał do mnie dłoń gdzieś nie zważając na te dzielące nas sto lat, sięgał do mnie przez czas żeby mnie znaleźć, mnie która stałam teraz w sypialni w starej chałupie. Miałam czyste przeczucie, że to co teraz przeczytam na zawsze zmieni moje życie. To

sprawiło, że moja dłoń zaczęła dygotać kiedy niosłam kartki do hamaka. Nogi mi się zbyt chwiały, żeby mogła ustać normalnie a poduszki na hamaku wyglądały bardzo przytulnie i wygodnie.

Rozłożyłam się w hamaku i zaczęłam czytać.

Na początku przeczytałam stronę z pamiętnika Sebastiana:

Siedzę w hamaku, pisząc sobie cicho. Epsilon znów gdzieś zniknął, nakazując mi to wszystko zapisać, aczkolwiek tyle o tej dziewczynie mówi sensownie co zawsze. Moje imię dla niej to „dziewczyna ze światem w dłoni” rośmiesza go niezmiernie. „I to ty nazywasz MNIE twórcą zagadek!” zwykł mawiać w tej sytuacji. Powiedział mi, że w przyszłości pojawią się zdumiewające rzeczy, że człowiek nie będzie potrzebował świec żeby mieć światło; w każdym pokoju będzie osobne zapalające się pod jednym dotykiem dłoni! Ale ja nie wierzę we wszystko co mi mówi. Ta dziewczyna, mówi Epsilon, muszę jej pomagać kiedy nadejdzie czas. Ale jak ja mogę pomóc dziewczynie ze snu? Mimo wszystko ja chciałbym jej pomagać – ona wygląda jakby miała jakieś poważne problemy.

On mówi mi również, że bym uważał na Mamę. To mnie naprawdę martwi, i boję się, że naprawdę jest z nią niedobrze. Wpatruje się w świecę, wzdycha i nic nie mówi; chodzi na wiele samotnych wędrówek po wybrzeżu; kiedy wraca wygląda tak samo niedobrze kiedy wychodziła. Epsilon powiedział mi, że nie jest z nią dobrze. Papa, oczywiście, niczego nie zauważa. Ostatniego wieczora, odważyłem się zapukać do jego drzwi. Poprosiłem go, żeby wezwać lekarza dla mamy. Ale on tylko się zezłościł i powiedział, że lekarz jest zbyt drogi, a na dodatek ,najbliższy znajduje się na stałym lądzie i poprosił, że bym poszedł i powstrzymał się od zakłócania jego prywatności.

W międzyczasie mieszkańcy przygotowują się do Spotkania. Czasami zapraszają mnie do wzięcia udziału w tej krzątaninie, ale zawsze czuję się tam obcy, po ponad siedmiu latach mieszkania tutaj! Ale Mistrz Cork z ostatniej chałupki nie jest taki sam jak reszta. On nie drwi z mojego ‘eleganckiego’ głosu i sposobu bycia, dlatego spędzam u niego najwięcej czasu. Pozwala mi siedzieć cicho przy sobie, kiedy on struga wysoką tyczkę do Tańca Okrągłego(Aroundy Dance). Nazywa tą tykę swoją Koskorobą, a sposób w jaki obrabia drewno jest niezwykły. Również opowiada mi różne historie i śpiewa podczas pracy, albo jego kobieta robi to, kiedy on jest cicho. Mistrz Cork ma piękny, głęboki głos i stare piosenki w jego wykonaniu brzmią naprawdę świetnie, ale głos Mistrzynie Cork już nie jest taki wspaniały!

Moją ulubioną piosenką, którą zwykł mi śpiewać jest „Ballada Yolandë'i”, a jej melodia jest balsamem na uszy. Ma bardzo dużo dziwnych słów, i kiedy się je śpiewa to po prostu płyną w powietrzu, zupełnie do siebie nie pasując i się nie łącząc. A kiedy Epsilon kazał mi rozpocząć przeszukiwanie historii, i w szczególności zainteresować się Yolandë'ą, zapisałem cały ten słodki tekst ballady późno w nocy. I kiedy uśmiechałem się nad kartą pergaminu, kiedy to pisałem, Epsilon tak mnie wystraszył swoim pojawieniem się, że przewróciłem mój kałamarz! I powiedział mi wtedy tak: „Jaśniejące gwiazdy mogą być bardzo zimne w dotyku,” i żeby czytać tę pieśń ostrożnie.

Powoli męczę się tymi jego staromodnymi manierami i tą wielką potrzebą bycia szyfrowanym. Powiedział mi ostatnio: „Kluczem do tej ballady jest V następnie V następnie V następnie V.” Co oczywiście daje mi nic poza bólem głowy.

Mama jest zbyt obolała żeby przygotować swoją część jedzenia na Spotkanie, więc zaniemiemy trochę jej już gotowych wyrobów. „Och Sebastianie, jestem zbyt zmęczona żeby tu teraz ugniatać ciasto na chleb. Pracuję przecież teraz nad zbieraniem muszli!” powiedziała.

Chciałbym, żeby już przestała zbierać te muszle, ponieważ nikt nie każe jej tego robić. Mimo wszystko, codziennie o świcie wychodzi przemierzyć brzeg całej zatoki. A później wraca, z fartuchem pełnym muszli, i wyrzuca je wszystkie w ogrodzie, prosto na ojcowskie malwy.

Co to jest za praca, którą robisz, Mamo? Co takiego poszukujesz? (Zapytałem ją o to, kiedy już nie mogłem patrzeć jak męczy sobie dłonie i wzdycha smutno.) Ale ona tylko podniosła na mnie swoje zmęczone oczy i odparła: „Dlaczego, nic, synu! Nie poszukuję niczego poza pokojem.”

Tymczasem ona chodzi po swojej sypialni i zawodzi. Wydaje mi się, że ona tak zawodzi „Balladę Yolandë'i”, ale gdzie słyszała melodię nie potrafię powiedzieć, a ona sama mi nie powie.

Muszę to odłożyć, mój papier. Papa będzie czekał na mnie kiedy wrócę do domu, będzie przechadzał się po korytarzu i marszczył brwi jak zwykle. Muszę pomóc mu załadować ławki kuchenne na wózek, zawieźć i przygotować, żeby były gotowe na Spotkanie. Mam jeszcze jedno zadanie, a mianowicie muszę zanieść jutro Mamine przetwory, na które dzisiaj przykleja etykiety. Wózki są wystarczająco ciężkie, żeby je popchnąć kilka mil, ale będą w poważnym niebezpieczeństwie zarwania się, zanim w ogóle osiągnę Dom Miliona. Wtedy

*Ojciec będzie ze mnie znów niezadowolony. Nie mam co do tego wątpliwości.
Ale przecież – czy w ogóle kiedykolwiek było inaczej?*

To była najdziwniejsza rzecz na świecie, żeby siedzieć w tym samym hamaku co Sebastian i czytać to, co on tutaj napisał – o mnie. Dziewczyna ze światem w dłoni. Moja lampka-globus. Domyślam się, że w jego czasach kiedy używano jedynie świec i lamp olejowych, ja włączając moją lampkę, musiałam wydawać mu się kimś magicznym. Albo czarnoksiężkim.

Spotkanie się zbliża. Zupełnie jak tutaj. Czuję się, jakbym wskoczyła w wir czasu czy coś, i oglądała co dzieje się Sebastianowi w 1894 roku. I te wszystkie rzeczy, które mu się przytrafiają, są zbyt podobne do tych, które przytrafiają się mnie. Na przykład, Epsilon próbuje mu też pomóc. I Spotkanie się zbliża. No i Sebastian, zupełnie jak ja, próbuje wyjaśnić co tu się dzieje! Za każdym razem, kiedy on uczy się czegoś nowego, zapisuje nową kartę swojego pamiętnika. Tak samo, jak ja to robię właśnie teraz.

Siedziałam tam przez chwilę w ciszy. Później podniosłam następne dwie karty z pudełka. Pierwsza miała słowa piosenki, napisane tym jego szybkim, pajęczym pismem.

Ballada Yolandë'i

*O wrzosie będę ja śpiewać, purpurowym karylionie.
Zbudź się! Ach, muzyka, taka głośna w tych rurowych dzwonach!
I spójrz – fundamenty, powstałe przed powstaniem czasu –
Widzę je wszystkie, ukryte w ciemnościach korzeni.*

*W moim srebrzystym świecie tańczę nieposkromienie.
Dopóki słyszę nocną muzykę kotów.
Tańczę świątecznie w świetle księżycy,
Wzywając wdzięcznie błękit nocy!*

*Zblednie gniew zimy.
Poszukuję słodczy
Miodem oblanego lata –
Wszystkie skarby jej wyblakniętych, pszenicznych dłoni.*

*Jej opowieści malujące krajobrazy,
Jej kamienie ukryte w cieniu okalających je dzieci:
One się śmieją.
Nucą swoje kotysanki, ukryte jabłka.
Odbiegają od swoich kotysek!
Tulą do serc moje sieci i chłodną rosę.*

*Mrużą się oczy w zimozielu –
Czarowne światło gdzie pracownicy niemowlęcy
Uśmiechali się, ostatniego lata.
Artyści piosenek, harfiarze –
Moje mądre dzieciątka bez wrogów!
Srebrnymi piórami piszą na skrzydłach okien,
Zajęci a jakże uroczy!*

*O ich wiedzy śpiewać będę,
Na flecie będę ich grać nocnym postaciom,
Wzywać ich do siebie, na zapieczętowanie,
Rozprzestrzeniać moją pieśń!*

*I nareszcie, rdest pełen wiary odstąpi swą twarz,
Paradującymi korowodami z przeszłości!
I wtedy z zamkowej bramy, wschód będzie rósł w siłę,
A zachód zapadnie w sen głęboki!*

*Bramę zniszczy dopiero mroźna północ,
A Pan Cytrynowy zwróci się do południa.*

*Panie, nie zakazuj śpiewu, to moja prośba!
Pozwól wodom morskim tykać brzegi ziemi.
(On w bezsilności zmuszony jest odpuścić
Jak pijawka!
Chociaż jest głodny nektaru, nie ma innego wyboru.)*

*Zmiażdż płatki, O ręko moja!
Nasionka uczciwości – kwiecie wrzosowe –
Śpiew tylko pozwoli uwolnić ich woń!
Żaden proch zimowy nie zignoruje mojego pachnidła.*

*Mieszkając w zamku z kości
Sięga puste dłonie, wypełnione ciszą.
Przynieś mi mą harfę, która kłamliwie dzwoni we wrzosie –
Pieśń i taniec, ale nie śmierci!*

*By żyć, będę śpiewać.
By żyć, muszę płąsać.
Niech zima owionie się wszystkimi jej upojnymi zapachami,
Moje piżmo nie jest czarne ni zimne.
Moje mokre serce lata przynosi nasionka:
Zasiać je nawet w zniszczonej ziemi grudnia.*

*Słuchaj sowy w ruinach warowni.
On zszywa ze sobą gałęzie.
Serce mi rośnie wraz z jego radością.
W oczach swoich ma ślady księżyca.*

*Budźcie się, moje pieśni! Moje ballady
Skandują dla umiłowanych sadzonek –
Malutcy wędrowcy wiatru i piór,
Uciekać wam trzeba i zapuszczać korzenie!*

*Z waszego rozwoju biorę moją melodię.
Dzięki wam, moje pieśni falują.
Dzięki latu życia,
Pieśniarzowi piękna.*

Na dole, Sebastian gryzmolił łamigłówkę którą zadał mu Epsilon, kiedy przyszedł powiedzieć o tej balladzie:

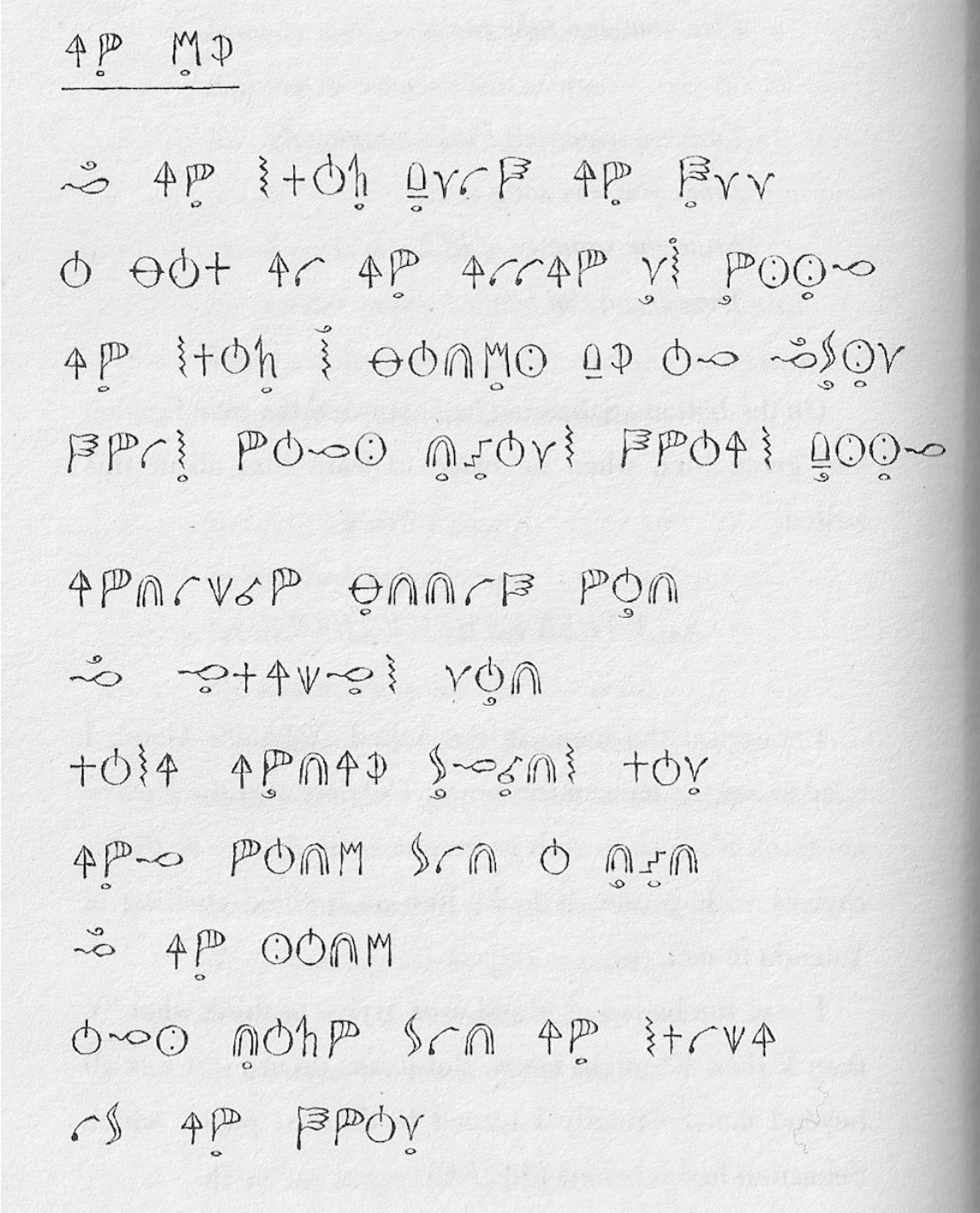
V NASTĘPNIE V NASTĘPNIE V NASTĘPNIE V

Przypatrzyłam się imieniu w tytule ballady: Yolandë. Próbowalam wymówić to imię na głos kilka razy. Na to e z kropkami chyba się akcentuje – więc całe imię rymowało by się ze słowem panda. Wygląda to na archaiczną wymowę imienia Yolande, jak dla mnie.

Przeczytałam balladę jeszcze kilka razy, próbując zrozumieć, co „V następnie V następnie V” może znaczyć. Ale nie było gdzie tego przykleić –

to było jakby poza mną. Więc na koniec odwróciłam ostatnią kartę, którą Sebastian zatytułował KLUCZ.

Oto ona:



Wpatrywałam się w te symbole dopóki oczy mnie nie zaczęły boleć. To były te same symbole, co te które wyświetliły się na ścianie w mojej sypialni – postanowiłam więc je rozszyfrować. Czy na pewno działało to na takiej samej zasadzie? Musiałam po prostu tak właśnie myśleć.

To było wtedy, kiedy właśnie uświadomiłam sobie jak bardzo byłam zmęczona: od gorąca panującego w pokoju i od bogatych zapachów przypraw i pachnących świec, porozstawianych dookoła – nie podpalonych oczywiście, ale nadal pachnących. Wydaje mi się, że już kiedyś czułam ten zapach – niekończące się kadzidełka Mamy albo zapach kościoła. Ale ten zapach był bogatszy, starszy; właściwie to można je tam ugryźć i poczuć na języku. I jeszcze to brzęczenie owadów, i ta zagubiona osa próbująca przepchnąć się przez szybę w oknie, tłukąc w nią swoim czołem. A ponad tym natarczywe *Gruu-huu! Gruu-huu!* *gołębic*y siedzącego w gnieździe. Czułam się prawie zahipnotyzowana.

Mimo wszystko nie mogłam przestać ziewać. I kręciło mi się w głowie. Przypomniałam sobie o ostrzeżeniu lekarza przed ponownym przegrzaniem. Więc, odłożyłam pudełka do kasety i zesłam na dół po resztę znaleźsk, żeby pomyśleć i może się zdrzemnąć w fotelu bujanym.

Teraz już lubię to miejsce. Czasami jest tu naprawdę strasznie – ale też czuję jakby to wszystko było moje. Jakby wyłącznie do mojego użytku. W każdej minucie spodziewam się zobaczyć Epsilona – prawdziwego a nie chwilowy cień pojawiający się niespodziewanie w rogu. Zastanawiam się jak on wygląda. Zastanawiam się czy czasami się nie przestraszę. Nigdy jeszcze nie widziałam ducha (aczkolwiek wyśmiał mnie jak szalony kiedy go zapytałam czy jest!). Chcę go spotkać.

Przestałam pisać, żeby rozejrzeć się po pokoju. „Kiedy będę mogła cię spotkać Epsilonie?” zapytałam domu na głos.

Gołębica przestał gruchać. Ale wtedy wdarł się nowy dźwięk. Z zewnątrz. Rodzaj trzepotania. Jakby skrzydeł, ale naprawdę dużych – to nie mogła być gołębica, ona jest za mała. Coś jakby wielkie ptaki, zbliżające się do chaty.

Właśnie byłam na zewnątrz w poszukiwaniu ptaków na niebie. Nic. Tylko zachodzące słońce i szum fal odbijających się do brzegu w dole.

Nie jest dobrze – muszę się wydostać z tego gorąca. Wracam. Wezmę dokumenty ze sobą i rozszyfruję symbole w domu. Mama zwariuje jeśli zobaczy mnie wracającą na górę tak późno i zgrzaną – będę musiała jakoś ją ominąć. Zapewne nadal będzie w kuchni, wiem – obiecała lekarzowi, że upiecze coś na

przyjęcie, albo Spotkanie, jak to tu nazywają.

OK. Czuję się znowu chora. Czas już wracać.

Jestem dziwnie niechętna do wyjścia.

Pa, Epsilonie.